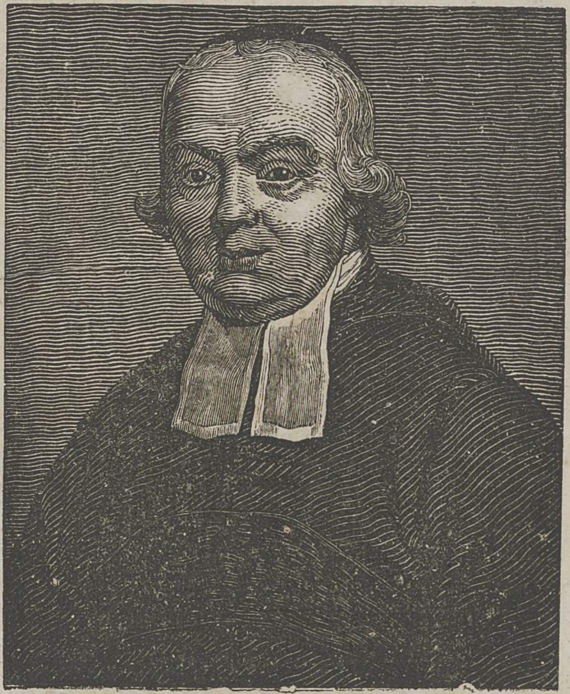


(HEINIKE.)



(Xiądz de L'EPÉE.)

O NAUCE GŁUCHO-NIEMYCH.

(Dokończenie.)

Nie łatwe to zapewne zadanie nauczyć głuchoniemego języka warg, chociaż chętnie do tego się przykłada, przekonanym będąc że inni ludzie przez poruszenia ust porozumiewają się nawzajem. Jednakże wielką to korzyść przynosi dla niego, gdyż tym sposobem słuch niejako wynagrodzony ma sobie, a jeżeli bystrym obdarzony jest wzrokiem, w znacznéj nawet odległości rozumiéć może mówiących. Widoczną więc jest rzeczą że język wargowy ułatwia bardzo naukę i kształcenie głuchoniemego który go posiada, i przyszłość lepszą zapewnia. Głuchoniemi tak się nieraz udoskonalili w sztuce śledzenia i odgadywania okiem tego co inni mówią, że równie prędko rozmawiać się z nimi było można jak z innymi ludźmi. Wspomniony wyżéj *Habermas*, który w Berlińskim instytucie głuchoniemych odebrał ukształcenie, uczęszczał np. na kazania, i dokładnie treść onych pojmował z samego jedynie przypatrywania się wargom kaznodziei.

5. Najgłówniejszym nakoniec środkiem do ukształcenia głuchoniemego, jest to *język głosowy*, którego wprawdzie bardzo trudno jest nauczyć. Nauka jego tak ze strony nauczyciela jako i ucznia wiele czasu, pracy i cierpliwości wymaga, lecz gdy się go nauczy głuchoniemy, wówczas wszelka inna nauka w porównaniu z tą staje się tak łatwą dla niego, że język ten wszędzie nietylko za środek ale i za główny przedmiot nauki głuchoniemych uważany być powinien.

Rozmaite były zdania względem pożytków, jakie głuchoniemi z nauki głosowego języka, odnieść mogą. We Francyi do dziś dnia, pomimo licznych doświadczeń, język głosowy nie jest traktowany jako przedmiot nauki dla głuchoniemych. Jednakże *Sicard*, lubo go w instytucie swoim nie zaprowadził, przy końcu swego pożytecznego zawodu poznał, iż edukacyą głuchoniemego wtenczas dopiéro za ukończoną uważać trzeba, jeżeli ten nauczył się nietylko czytać i rozumiéć z warg mowę drugich, ale kiedy sam także za pomocą ustnego głosowego języka rozumiéć się dać może. W Niemczech przeciwnie, język głosowy wszędzie prawie i z pomyślnym nawet skutkiem zaprowadzonym został. Doświadczenie bowiem okazało, że chociaż nie wszyscy głuchoniemi zdolni są nauczyć się języka głosowego, wielka wszelako ich liczba cel ten mniéj więcéj dokładnie osięga. Chociaż wielu z pomiędzy nich jednakowym i nieprzyjemnym dla ucha głosem mówią, jednakże język głosowy daleko jest lepszy aniżeli wszystkie znaki migowe; tym sposobem nie jeden głuchoniemy dokładnie nauczywszy się mówić, korzystać może z towarzystwa ludzkiego i zupełnie przydatnym się staje do życia społecznego.

Wskazane wyżéj sposoby używane są w uczeniu głuchoniemych podług dwóch różnych zasad. Oprócz bowiem języka pisemnego, który stronnicy obu tych zasad za koniecznie potrzebny uważają, jedni z nich, na-

leżący do szkoły niemieckiéj, głośne mówienie mają za główny przedmiot nauki; drudzy zaś, trzymający się szkoły francuzkiéj, uważając język na migi za język naturalny głuchoniemych, sądzą, iż na tym tylko naukę ograniczyć potrzeba.

Do piérwszéj z tych szkół należą: *Pedro de Ponce*, *Bonet*, *Pereira*, *Amman*, *Raphel*, *Wallis*, *Holder*, szczególniéj zaś *Heinike* i *Graser*; za nią téż idzie większa część instytutów niemieckich, wyjąwszy austryackie.

Do drugiéj czyli francuzkiéj liczą się: *Xiądz de l'Epée*, *Sicard* i *Guyot*, a w śladyjéj wstępują instytuta francuzkie, hiszpańskie, portugalskie, włoskie, austryackie, rossyjskie, hollenderskie oraz wiele angielskich i północnoamerykańskich. Nie przestając wszelako na samym języku mig czyli jestów, używają jeszcze mowy sztucznych znaków czyli języka palców, który na nieszczęście w każdym instytucie jest inny. Następna rycina wyobraża alfabety *jednoręczny* i *dwuręczny* używane w Ameryce.

Amman uczył równie głuchoniemych tym sposobem, że przyzwyczajał ich zważać pilnie na odmienne coraz położenie ust przy wymawianiu różnych zgłosek, i takowe naśladować im kazał przed zwierciadłem; wydając głos jaki przykładał sobie rękę głuchoniemego do krtani, aby tenże uczuć mógł ruch sprawiony przez wydanie głosu; a potém każąc mu głos ten naśladować przykładał rękę do krtani głuchoniemego, i tym sposobem wydobywał z niego głosy, których inaczéj głuchoniemy, przez samo naśladowanie rozmaitych położeń ust, nie byłby zdolny wydać.

Heinike i Graser znacznie wydoskonalili potém tę metodę.

Heinike o to szczególnie się starał, aby uczniom swoim o ile tylko podobna mógł przywrócić mowę, to jest postawić ich w możności porozumiewania się ustnie z ludźmi słuch mającymi. Przyzwyczajał ich więc aby mieli oczy ciągle zwrócone na usta osoby mówiącéj, a to dla dokładnego i prędkiego pojmowania tego co mówi. Chcąc ich zaś usposobić, aby wzajemnie i od drugich mogli być zrozumiani, starał się wymowę ich, pozbawioną melodyi i niewyraźną, uczynić jak najwięcéj zrozumiałą, a to przez ciągłe ćwiczenie w dokładném wymawianiu wszystkich głosek, szczególnie zaś samogłosek. W tym celu, dla wrażenia w pamięć sposobu jakim samogłoska wymawiać się powinna, dawał głuchoniemym za każdą wymówioną samogłoską coraz inną rzecz do skosztowania, aby uczeń z różnicy smaku, poznać i uczuć mógł różnicę brzmienia i wymawiania samogłosek. I tak: czysta woda oznaczała *a*; woda z cukrem *o*; oliwa *u*; extrakt piołunowy *e*; ocet *i*.

Metoda Grasera na następujących opiera się zasadach. Usta mówiącego tyle różnych robią poruszeń ile ucho słyszy głosów. Wszystkie te poruszenia nadają całéj twarzy pewien kształt, który za każdą wymówioną literą, okiem poznawać i rozróżniać można. Ztąd oprócz alfabetu głosowego, który się o ucho nasze obija, wyraża się jeszcze na ustach mówiącego alfabet widzialny dla oka; dla osoby zatém patrzącéj na usta mówiącego, która już w tém nabyła niejakiéj wprawy, jedno to będzie, czy słyszy lub téż widzi jak się słowo wymawia. Wyrażając przeto kształty ust przez pewne, odpowiedne onym albo podobne do nich znaki na papierze, otrzymamy alfabet naturalny; a z naśladowania różnych figur, jakie usta mówiącego przybierają, powstanie pismo, które innym ludziom obcém nie będzie; przeciwnie zaś gdyby znaki pisemne były dowolnemi, główny cel wzajemnego porozumiewania się z ludźmi wielceby został utrudniony. Piérwsza mowa pisemna niezawodnie tym sposobem powstała, inaczéj nigdyby się tak nie była upowszechniła; a kształty pierwotne onéj ukazują się najlepiéj w abecadle łacińskiém.

Xiądz de l'Epée wychodził z tych zasad.

1) Co człowiek za pomocą słuchu doszedł, to umysłowi głuchoniemego tylko za pomocą oka przedstawiać można.

2) Wyobrażenia umysłowe równy mają związek z głoskami wymawianemi jak i ze znakami pisemnemi.

3) Języka obcego uczyć tylko można za pomocą ojczystego, którym dla głuchoniemych jest mowa na migi.

4) Każdy głuchoniemy umie tę ostatnią podobnie jak każdy inny człowiek z urodzenia swego; przez nią wyraża swoje chęci i uczucia, swą boleść i radość. Do nabycia téj mowy pomogła mu nie sztuka ale wrażenia których doświadczał.

5) Kładąc przeto mowę jestów w miejsce mowy ustnéj, jesteśmy w stanie wydoskonalić głuchoniemego o ile tylko pragniemy.

A zatém Xiądz de l'Epée w nauce głuchoniemych więcéj miał na celu wydoskonalenie ich umysłowe, Bonet zaś, Amman, Pereira trudnili się bardziéj mechaniczną częścią onéj, to jest mową głosową. Metoda jego przez wydoskonalenie mowy jestów, jako naturalnego środka rozwijania wyobrażeń, zastosowana była wprawdzie do potrzeby głuchoniemego, lecz nadto wielkie pole do rozszerzenia się otworzyła.

Sicard odstępował znacznie od metody Xiędza de l'Epée. Wychodząc z téj zasady, że początku każdego języka szukać należy w naturze myśli saméj, sądził, iż obudzić i ćwiczyć trzeba władzę umysłową głuchoniemych, i tak uczyć ich, aby języka sami niejako wydobywali zasady mowy i rozwijali. *Sicard*

stawiał uczniom przed oczy różne rzeczy, przez które dopiéro wyobrażenia ich, a następnie i język rozwijał; *de l'Epée* zaś pokazywał im najprzód słowo samo przez się, tłómacząc im potém, przez mowę na migi, znaczenie do niego przywiązane. *Sicard* obudzić usiłował działalność własną swych uczniów, przekonany będąc że w przeciwnym razie wszystka praca byłaby daremną i głuchoniemy nigdy sam z siebie niczego nauczyć się nie byłby zdolny.

Guyot naśladujący w ogólności Xiędza *de l'Epée* mniema, że dziecię głuchonieme uczyć trzeba piérwszych początków bawiąc je niejako, przezco późniéj cała nauka stanie się dla niego łatwiejszą i przyjemniejszą. W tym celu w instytucie Gronindzkim używał kart z jednéj strony wyobrażających różne przedmioty, z drugiéj zaś nazwiska tychże napisane.

W nowszych jednakże czasach lepsze szkoły francuzkie zbliżają się bardzo do niemieckich, a nawet w Paryżu już od kilku lat zaczęto uczyć głuchoniemych mowy głosowéj, lecz dotąd dla braku zdatnych do tego nauczycieli pomyślnych skutków jeszcze nieosiągnięto.

Samuel Heinike w Saxonii a Xiądz de l'Epée we Francyi, których wizerunki tu się załączają, w jednymże prawie czasie trudnić się zaczęli uczeniem głuchoniemych, lecz podług dwóch różnych metod, o których poprzednio już wspomnieliśmy. *Samuel Heinike* założyciel szkoły niemieckiéj, uważającéj głośne mówienie za najważniejszą część nauki głuchoniemych, urodził się w Kwietniu 1729 roku we wsi Nautszytz pod Weissenfels, z ojca rolnika; wszedł do wojska i tam odznaczał się rzadką w naukach pilnością. W roku 1754 piérwszy raz, w Dreznie zajął się uczeniem głuchoniemego chłopczyka; potém wyszedłszy z wojska został nauczycielem we wsi Eppendorf pod Hamburgiem, gdzie od roku 1768 do 1778 uczył z pomyślnym skutkiem innego głuchoniemego. Ściągnął przeto na siebie powszechną uwagę, tak, że już w roku 1772 cztérech miał uczniów do których w następnym jeszcze więcéj przybyło. W roku 1777 powołany przez ówczasowego Elektora Fryderyka Augusta do Saxonii, założył instytut głuchoniemych w Lipsku, dokąd 13 Kwietnia 1778 r. z dziewięcią uczniami przybył. Liczba tychże powiększyła się wkrótce do piętnastu, późniéj jednak zmniejszyła się znowu, aż nareście Elektor oświadczył: iż głuchonieme dzieci ubogich rodziców, jego kosztem pobierać będą nauki. W Kwietniu 1790 r. umarł Heinike mając lat 61.

Uczniowie jego rozeszli się po większéj części Niemiec i według jego zasad pozakładali w znaczniejszych miastach szkoły głuchoniemych, które dotąd istnieją.

Karól Michał de l'Epée założyciel szkoły francuzkiéj, któréj główną jest zasadą uczyć głuchoniemych za pomocą jestów czyli języka palców, urodził się 25 Listopada 1712 roku w Wersalu, gdzie ojciec jego był architektą królewskim. Od najpiérwszéj młodości skłonny do życia spokojnego i do rozmyślania, poświęcił się stanowi duchownemu; i po ukończeniu nauk w 17 roku przyjąć miał piérwsze święcenie kapłańskie, lecz z powodu, iż wzbraniał się podpisać nowo-wprowadzoną do Francyi ustawę duchowną, jako sprzeczną z jego zasadami, odmówiono mu wstępu do tego stanu. De l'Epée oddał się więc nauce prawa i następnie rozpoczął swój zawód prawny jako Adwokat Parlamentu. Wszelako obowiązki tego powołania niezgadzały się bynajmniéj z jego łagodnym i spokojnym charakterem, i niezadługo wrócił do nauk teologicznych.

Prałat Bossuet w Troyes, synowiec sławnego Bossueta, któremu de l'Epée, przez dawniejszych swych przełożonych był polecónym, powołał go na kanonika i kaznodzieję do swéj dyecezyi. Z wielką gorliwością pracował tu de l'Epée, lecz wkrótce z rozkazu P. de Beaumont ówczasowego arcybiskupa Paryzkiego usunięty został od swych obowiązków i zakazano mu nawet nauczania religii. Odtąd de l'Epée żył na ustroniu w Paryżu. Przypadek sprowadził go tu do familii, w któréj zakonnik nazwiskiem Vanin zaczął był uczyć w roku 1755 dwie głuchonieme dziewczynki (bliźnięta) za pomocą obrazków, a którego wśród téj pracy śmierć zaskoczyła. Matka ze łzami opowiadała o nieszczęściu swych córek i o utracie nauczyciela; X. de l'Epée żywą przejęty litością postanowił daléj ciągnąć dzieło rozpoczęte przez ojca Vanina. Szczęśliwy skutek jego usiłowań sprawił, że odtąd życie swe wyłącznie temu powołaniu poświęcić postanowił, a mając 12,000 franków rocznego dochodu, własnym kosztem założył w Paryżu szkołę głuchoniemych, która wkrótce zamieniła się na instytut wychowania tychże. Dla edukacyi i utrzymania swych uczniów odmawiał sobie nieraz najpiérwszych potrzeb. Kilkakrotnie ale nadaremnie udawał się do rządu z prośbą o wsparcie na potrzeby instytutu, i dopiéro w roku 1785 wyznaczył mu Ludwik XIV roczną summę na utrzymanie pewnéj liczby głuchoniemych. Wszakże niedożył Xiądz de l'Epée spełnienia najgorętszych życzeń swoich, aby instytut jego policzony został do rzędu instytutów publicznych; umarł w roku 1789.

Sława jego rozeszła się po całym świecie, a uczniowie pozakładali na wzór Paryzkiego bardzo wiele instytutów podobnych we Francyi, Hiszpanii, Portugalii, Włoszech, Austryi, Polsce, Rossyi, Hollandyi, Anglii i w Ameryce Północnéj.



(Jednoręczne Abecadło Głuchoniemych.)



(Dwuręczne Abecadło Głuchoniemych.)

MACHINA DO CZYSZCZENIA PIERZY.

Machina ta jest cylindrem z żelaznéj blachy 3 stopy długim i 18 stóp średnicy mającym. W środku jego umieszczony jest drewniany walec z którego wystające druty dochodzą prawie ścian cylindra i który za pomocą korby, na jednym jego końcu utwierdzonéj, dowolnie obracać można. Wzdłuż jednego boku cylindra ciągnie się klapa, którędy wsypuje się do niego i wyjmuje przepłókane i przesuszone pierze, gdzie ciągle obraca się i przetrząsa się nad wolnym ogniem dopóki żadna już para z cylindra dobywać się nie będzie. Pierze tym sposobem staje się bardzo lekkie i sprężyste a razem traci wszelką woń nieprzyjemną.



MYSZ WĘDROWNA (*Mus lemmus.*)

Ojczyzną tych Myszy, żnanych przez gromadne swoje wędrówki, zdają się być góry Norwegii i Laponii. Długość ich dochodzi pięciu cali bez ogona, który pół cala tylko długi. Sierć mają bardzo delikatną i gęstą, ale skóry ich tak są cienkie, że wcale na futra nie są przydatne. Przód głowy, grzbiet i łopatki mają czarne, reszta skóry jest koloru rudawego z czarnemi centkami rozmaitéj postaci. Górna warga jest u nich rozdwojona jak u królików. W pewnych czasach schodzą te myszy z gór w niezliczonych gromadach, i straszliwe zrządzają spustoszenie pożérając zboża, trawy i wszelkie zioła częstokroć nawet z korzeniami. Zjawienie się ich bywa nagłe, i nim mieszkańcy zdołają przedsięwziąść jakie środki przeciw téj okropnéj klęsce, już cały kraj okryty jest temi zwierzętami, przed któremi żadne źdźbło nie ocaleje. Wędrują zawsze gromadami w prostéj linii; żadne przeszkody nie mogą ich w téj wędrówce zatrzymać. Przepływają rzeki, jeziora, przebywają najstromsze skały, i wszędzie głód i spustoszenie za sobą zostawiają. Szczęściem że to zniszczenie dopełniają tylko na otwartych polach, starannie bowiem unikają te zwierzęta mieszkań ludzkich i nigdy się do nich niezbliżają. Utrzymywano, że trawę, po któréj przechodzą, zatruwają, a ztąd pasza po odrośnięciu na wiosnę staje się szkodliwą dla bydła; nie łatwo jednak wierzyć temu można, skoro mięso tychże myszy Lapończycy jedzą.

Zwierzę to broni się zażarcie, kiedy jest napastowane. Gryzie kij napastnika, skacze nawet na niego, i woli raczéj dać się zabić, niż puścić, co raz uchwyciło zębami. W przebywaniu rzek i jezior wpław, mnóstwo ich ginie, zwłaszcza kiedy je burza zaskoczy. Nieprzyjaciół swoich mają w gronostajach, lisach i ptakach drapieżnych, które w ślad za gromadami wędrującemi postępując mnóstwo ich wytępiają; z téj przyczyny bardzo mało tych zwierząt do gór ojczystych powraca. Sądzić należy że powodem do tych okropnych wędrówek jest nadzwyczajne rozmnożenie się tych zwierząt a stąd zrządzony dla nich brak pożywienia w górach. Może też instynktem przeczuwają niepomyślną i ostrą dla siebie porę w kraju ojczystym; a przynajmniéj uważano że wędrówki tych myszy przypadały w jesieni, po któréj następowała zwykle ostra zima. Samice podczas tych wędrówek częstokroć kocą się, a wtedy płód swój noszą w pysku lub na grzbiecie. Zwykle w przeciągu lat dwudziestu myszy te odbywają dwie lub trzy wędrówek.

O ROMANSIE HISTORYCZNYM.

(*Dalszy ciąg.*)

Romans historyczny, ten utwór mniemany Waltera-Skota, krążył z wieku do wieku, od Xenofonta do Kwinta Kurcyusza, którego hi-

storya Alexandra W. jest tylko zmyśleniem ugruntowaném na podaniach i wiadomościach prawdziwych. Zobaczymy wkrótce, jak ten rodzaj pisania zjawił się znowu w tym samym kroju i kształcie, w innéj tylko barwie, na łonie feudalności.

Gdy w ciągu wieków średnich, biedny pustelnik chcąc ubawić damy i rycerzów owoczesnych, powziął myśl szczęśliwą aby zebrać jakkolwiek i upięknić swoim sposobem podania krążące pomiędzy ludem, powieści mamek i piastunek, pieśni gminne i wszelkie, jakie tylko gdzie mógł znaleźć, szczątki prawdy i fałszu o męstwie i o dzielności dwunastu waleczników i przywodzącego im Karola W; cóż zrobił innego, jeżeli nie romans historyczny? Tak zwana *Kronika Turpina* sprawiła równie wielkie wrażenie w swoich czasach, jak romanse Waltera-Skota w dzisiejszych. Do téj kroniki niepewnego autora, jak do spólnego źródła odnoszą się wszystkie późniejsze romanse z wieków średnich. Nie wiedziano w owych czasach co to krytyka, rozbiór, badanie, lecz wierzono w czary. W chatce ubogiego wieśniaka, równie jak w domach miejskich znano dobrze stare legendy, rozpowiadające o wielkich czynach Karola W. i jego przybocznych lenników; czytano je i powtarzano z chciwém upodobaniem, jego wizerunek znajdzie się pod strzechą uprawiacza winnicy, i w warsztatowéj izbie rękodzielnika. Owóż i romans historyczny hołdujący Karolowi W. Mieszając tedy bez ładu rozmaite podania krążące pomiędzy gminem, ze szczątkami niektórych pamiątek na pół zatartych, z imionami sławnemi, z powieściami o czarodziejstwie i z wielą tym podobnemi fałszami, *Turpin* czy inny kronikarz bezimienny, który wydał na świat tę zbieraninę bezkształtną i nieporządną, był prawdziwym twórcą romansu historycznego w średnich wiekach. Czy to był człowiek wyższego talentu i ukształcenia, czy pospolity, czy się nazywał *Turpin* czy *Klaudyusz*, czy to zakonnik czy biskup, mniejsza o to; dość, że należy przyznać mu zasługę lub szczęście, że piérwszy dał popęd całéj Europie, i znalazł wszędzie licznych naśladowców. Dla czegożby nie mieli wszyscy w owych czasach mieć upodobania w téj wystawie, tak okazałéj, wielkich dzieł rycerskich, w tym teatrze przedstawującym wielkie przygody i niebezpieczeństwa, w których ludzka odwaga walcząca z losem, już poddawała swą potężną wolę przemagającéj władzy przeznaczenia, już zdołała niekiedy wznosić się nad samo przeznaczenie. *Turpin*, jakkolwiek nieokrzesany dziwnie przypadł wszystkim do smaku, i dla tego wszędzie go przepisywano, a późniéj wychodziły opisy historyczne wszystkich kolejno narodów europejskich, ich początków i zmian gwałtownych, przez jakie przeszły, a to w stylu i barwie romansowéj wiernie naśladowanéj z Turpina.

Na gruncie romansu historycznego, na tle zdarzeń znanych lecz cokolwiek przeistoczonych, tudzież imion sławnych często niepodobnych do rozpoznania, osnowano tysiąc dziwacznych zmyśleń. Z postępem cywilizacyi dzieła tego rodzaju, przybierały coraz więcéj powabu i zalotnéj mistyczności. Był-to niejako przelew platonizmu nauczanego po szkołach; było to nowe zastósowanie teoryi ucznia Sokratesowego o miłości czystéj. Używano tu dogmatów metafizycznych pół nabożnych, pół światowych, co wyniknąć nieuchronnie musiało z chrześcianizmu wrażającego cześć głęboką, pełną uczucia i zapału posuniętego do najwyższego stopnia, który to zapał przenoszono naturalnym trybem od rzeczy boskich do ludzkich. Prawość i heroizm świata północnego dodawały jeszcze więcéj energii myślom filozoficznym i żywym uczuciom, wynikającym z cywilizacyi chrześciańskiéj. Ztąd powstały tak liczne romanse rycerskie, które zarazem cechowała zalotność, uniesienie, dziwność i mistycyzm. W początkach były one historyczne, potém wyrodziły się powoli, a zalotność, posunięta aż do zaślepienia, i niesłychane przygody zajęły z czasem miejsce opowiadania zdarzeń prawdziwych.

Nie śmiejmy się z tych dzieł niegdyś sławnych, a dziś zagrzebanych w pyle bibliotek, i one panowały w świecie chrześciańskim przez wiele wieków.

Ale gdy namnożyło się wiele romansów takich jak *Amadis*, i gdy podziw nad temi epopejami rycerskiemi, przyjęły szczególniéj narody północne namiętnie zamiłowane we wszystkich zmyśleniach bohaterskich, nastąpiła osobliwsza zmiana. Wziąwszy zmyślenia romansu historycznego, za prawdę, zaczęto one, a z niemi i sam rodzaj pisania wyśmiewać. Naród handlowy zamożny, skłonny do szyderstwa i uciech zmysłowych, naród w owych czasach najcywilizowańszy w Europie, dał hasło. We Włoszech tedy zaczęło się szyderstwo, a odtąd długi i głośny śmiech, prześladował dawnych rycerzy i rycerskość w ludziach i pismach, począwszy od *Pulciego* aż do *Donkiszota*, u stołu bogatych kupców i Książąt Medyolanu, Florencyi, i Neapolu.

Piérwszy grunt i zasada poematów Aryosta znajduje się w romansie historycznym Turpina. Już Aryost zaczyna wyśmiewać te wielkie cięcia pałaszowe, które podziwiano przed nim, a zachowując całą zmienność i ruch przygód nadzwyczajnych, dodający tyle wdzięku jego poematom, przyłączył do nich osnowę lekkiéj i błyszczącéj ironii, oraz uszczypliwości prawie niedojrzanéj. Tak się rozwinęły wszystkie jego wdzięcziwe i czarujące powieści o cudach męztwa rycerskiego, o przedsięwzięciach olbrzymich i niepodo-

bnych do wykonania. Ironia u niego jest panującą. Przeciwnie w wyborném opowiadaniu przygód Donkiszota, zajmuje ona tylko połowę myśli autora. Uczyniemy tu jeszcze uwagę, że Aryost w swojéj Satyrze jest łagodniejszy od swoich poprzedników. Nie maluje on karykatur, jak Aerni, ani jest cynicznym i grubiańskim, jak Pulci; był to człowiek uczciwy i dobrego tonu, żartuje sobie łagodnie, i dowcipnie z rycerskich i romansowych zapędów. Głębszym jest od niego Cerwantes; w jego ironii przebija się uczucie przesadzone wprawdzie, ale uczucie heroizmu, a obok tego heroizmu rozsądek pospolity i uszczypliwy w osobie Sancho-Pancha.

Uważmy dalsze zmiany, jakim podlegał ten rodzaj pisania. Za Ludwika XIV romans historyczny przybrał nową postać. Wkracza on w granice poezyi pasterskiéj, jaka była u Włochów, malując razem tkliwe i delikatne uczucia znamionujące poetów hiszpańskich. Tu się zjawiła najprzód *Astrea*, potém *Cyrusy* i *Klelie* i tym podobne romanse wystawujące rycerzy zalotnych i bredniarzów, które sprawiedliwie surowy Boalo wyszydził. Lecz niech sobie ludzie żartują, dopóki zechcą z téj formy śmiesznéj i z ducha owych romansów; był wszakże czas gdy one miały wielką wziętość i sławę w całéj Europie, a romansowe ideały obrazem były rycerza francuzkiego, podług wyobrażeń owoczesnych. Tym sposobem łatwo sobie wytłómaczyć podziw, jaki okazywały dla zmyśleń bohaterskich niektóre osoby, zkądinąd znakomite, ale całkiem oddane urojeniom romansowym. Podziw ten wykołysał dzieciństwo i wychował młodość Ludwika XIV; oraz wywarł na Fenelona wpływ wielki, dzisiaj nie dość oceniony. Tło tego romansu jest historyczne podobnie jak *Cyropedyi*, a szczegóły moralne i nauczające; jest to więc poezya, i romans przymieszany do historyi. *Telemak*, równie, jak romans przypisywany powszechnie Turpinowi, miał wielu naśladowników. Zaraz kawaler Ramsay napisał i wydał: *Przygody młodego Cyrusa*, a nietylko Anglia lecz i Niemcy miały swoich fałszywych Telemaków. Jeden poczciwy Pastor germański wziął się do pióra, i jakaś Xiężna czy Xiężniczka *Herculeida* (taki jest tytuł dzieła dziś zapomnianego), wyszła z druku w ośmiu czy dziesięciu wydaniach. Nie wspomniemy tu o romansie Terassona pod napisem: *Sethos* i o drugim *Teleph* Pechmeja, które oba śmiertelnie znudziłyby czytelników. Przyszła z kolei filozofia XVIII wieku. Marmontel wydał swego *Belizara*, a po nim Bartelemi *Anacharsysa*, romans historyczny i pełen erudycyi, który tuż poprzedził romanse Waltera-Skota; nie ma on ani téj siły życia ani przenikłego pojęcia i zgłębienia starożytności, jakie cechować powinny podobne dzieło.

Nakoniec zajaśniał jeniusz Waltera-Skota; wiadomo nam, jak wielki skutek sprawiło to zjawienie, które stanowi epokę w literaturze europejskiéj. Czasy upłynione zyskały tedy malarza wolnego od namiętności, wolnego od przesądów. Umiał on obrać dla siebie stanowisko z którego obejmował zarazem wszystkie zwyczaje i obyczaje, wszystkie wzruszenia i działania, słowem zewnętrzne i wewnętrzne życie zniknych pokoleń. To zaś najwięcéj podziwiamy w Walterze-Skocie, że u niego poeta, autor, romansista znikają, i czytając jego romanse ani pomyślimy, że jakaś ręka niewidoma porusza wszystkie te osoby niby maryonetki historyczne; do tego stopnia posunięte jest omamienie.

Został on podziśdzień sam jeden w swoim rodzaju. Napróżno większa część jego naśladowników usiłowała zabezpieczyć się przeciwko własnym uwidzeniom; zawsze widzieli świat mniéj więcéj przeistoczony wpływem swoich nawyknień i własnego sposobu myślenia, świat ubarwiony kolorytem wyobraźni, a zmieniony złudzeniem pojęcia i zwodniczym odblaskiem przesądów.

Walter-Skot jest dotąd jedynym; winien zaś to wyosobnienie swojéj bezstronności. Bo czy kto mizantrop, czy wesoły albo satyryczny, czy należy do jednéj lub drugiéj partyi, jak tylko namiętności i wyobrażenia jemu właściwe zapuszczają zasłonę pomiędzy nim a światem obecnym lub historycznym, tedy on nie jest już romansistą: brakuje mu bowiem czystości i naturalności pojęcia, która nas tak tkliwemi czyni na cierpienia, równie jak na uciechy i radości wieśniaka i pana lennego. Tak właśnie pojmował historyą Walter-Skot podług swojego pierwowzoru, jakim był dla niego Froissard. Jest on naocznym świadkiem wszystkich wydarzeń życia publicznego i domowego osób, które wprowadza na widok, i to nie świadkiem zimnym, ale bezstronnym i czułym na wszystkie ich nieszczęścia, nadzieje i uciechy. Nie zaspokoiłby zupełnie naszego upodobania, gdyby był tylko biegłym starożytnikiem, a nie miał w sobie prostoty i szczerości; gdyby tylko troskliwie i wiernie był zebrał czyny nierozwagi i zaślepienia Purytanów Szkockich, a nie dał nam razem poznać ich szlachetności i wytrwania w raz powziętym zapale; gdyby się tylko pokazał postrzegaczem satyrycznym błędów i zdrożności dawnych czasów, a nie odmalował wiernie pięknych czynów przodków.

Czyż kto z poprzedników lub naśladowców Waltera-Skota ma taką jak on trafność pojęcia, taką bezstronność, tak łatwe i do wszystkich przedmiotów rozciągające się spółczucie? Romans historyczny Struta, jest tylko zbieraniną starodawnych kirysów i hełmów. U Panny Edgeworth, jest to jedynie nauka moralna. Banim pisarz irlandzki widzi same

tylko mary senne i nocne, słyszy tylko dzwonienia pogrzebowe, maluje tylko sceny okropne, pomieszane ze śmiesznemi; ale z całą potęgą myśli obfitością wynalezienia trzyma się zawsze jednegoż kierunku, zawsze na jednéj i téj saméj drodze. Łąki zieleniejące, brzegi malownicze i nadbrzeżne rozłogi, kopalnie węglane z dziwaczném swojém wejrzeniem, stare zamczyska i zmienne niebo Irlandyi ukazują się mu jakby pod osłoną rozwiewną i nasadzoną blaszkami złotemi. Zbyt wiele jest u niego wypracowania w rysach, i przesady w kształtach osób skreślonych, wywołuje on cienie, namnaża dziwotwornych istot, a nasza historya codzienna, nasze życie rzeczywiste jest mu prawie nieznane. Dla tego też romanse Banima są to powieści niepospolite w swoim rodzaju, jako przerażające strachem, pełne wszelkich wzruszeń; lecz zamykają się całkiem w obrębie romansu, a w obręb historyczny nie wchodzą.

Horacy Smith, który także starał się jak najbliżéj naśladować mistrza szkockiego, zwrócił niemal całą swoję uwagę na przedmioty materyalne historyi. Posiadając dar żywego wyobrażenia martwéj natury, nie umiał malować natury żyjącéj i poruszanéj namiętnościami. Znajdziemy u niego podostatkiem axamitu, koronek, znajdziemy ostrogi starożytne, pochwy od pałaszów i zbroje wszelkiego rodzaju, których opisanie po kilka stronnic zajęło, i w których on przepatruje wszystkie sztuki większe i mniejsze, a nawet błyszczących ćwieczków nie pomija.

Widzieć jak najdalej na wszystkie strony i wiernie malować, oto są dwa warunki koniecznie potrzebne w trudnym kunszcie, jakiemu się poświęca romansista historyczny. James, (Dżems) autor *Darnleja*, zdaje się, że pojął przeznaczenie i obowiązek tego literackiego powołania. W rzeczy saméj, romanse jego mieszczą w sobie postrzeżenia trafne i jasne, ale mało interesują; widzi on, ale nie czuje wespół i obraz jest dokładnie wykonany, ale nie czyni wrażenia na umyśle; a osoby, które on niby przeprowadza przed naszemi oczyma, wzbudzają na chwilę ciekawość, ale serca nie zajmują. Walter-Skot przeciwnie do trafności szybkiego pojęcia łączy nadzwyczajną władzę wzruszania, a pomimo zupełną bezstronność, zawsze nas zająć umié. Możnaby go przyrównać do człowieka, który otwiera okno lub staje na balkonie, aby ci pokazał wielki krajowid: tam w oddaleniu wschodzące słońce i poprzedzielany na widnokręgu las sosnowy, tu znowu jezdni pędzą po równinie, a w głębi doliny zaczyna się utarczka, widać dym od strzałów pistoletowych, słychać huk rusznic, tuż obok przechodzą wieśniacy na nic nie zważający lub ciekawi, a za nimi myśliwiec ze swoim psem, nakoniec ruch na całéj przestrzeni, wielka akcya, ciągle się zmieniająca i zmienna i dziwnie zajmująca. A u Pana James, któremu nie brakuje ani nauki, ani dowcipu, ani stylu, osoby stoją w miejscu nieporuszone i zaledwo dostrzedz w nich można, że żyją. Otóż jak trudno naśladować wielkiego mistrza! Zdaje się komu, że w naśladowaniu uchwycił cechy wewnętrzne jego myśli, a on tylko przejął formy powierzchowne dzieła.

W całéj Europie rzucono się do naśladowania Waltera-Skota, a żaden z tylu naśladowników nie dociekł jego tajemnicy.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

STRUNY DO SKRZYPCÓW.

We Włoszech robią najlepsze struny do skrzypców dla całéj Europy. Najprzedniejsze, lubo noszą nazwisko *rzymskich*, nie wyrabiają się jednak w Rzymie ani w okolicach jego lecz w Neapolu. Robota ich z wielką odbywa się tajemnicą, i tyle tylko wiadomo, że struny te robią się z kiszek baranich a najwyborniejsze z baranów bitych w miesiącu Wrześniu. Kiszki kładą się w świeżą wodę gdzie przez 24 godzin mokną, poczém oczyszczone z szlamu przenoszą się do ługu z wody i lagru winnego. Prawdziwy stosunek téj mieszaniny trudno utrafić i w wielkim zachowany jest sekrecie. Po dziesięć kiszek kładą w jedno naczynie i przez pięć dni następne polewają cztery razy na dzień świeżym ługiem, poczém dopiéro kołem powroźniczém kręcą je na struny. Na najcieńszą strunę potrzeba dwóch do trzech, na grubszą basową czasem 120 kiszek. Skręcone wyciągają się na ramach obitych haczykami; suszą się i bielą przez 6 godzin w izbie ogrzanéj i parą siarczaną napełnionéj. Nim je zdejmą z ram, skręcają raz jeszcze, a potém wyciérają końskim włosem i wygładzają. Wreście nacierają się oliwą aby były giętkie, poczém się zwijają na drewniane wałki i tak się rozsyłają.

---

w Warszawie, w Drukarni Jana Glücksberga Księgarza Szkół Publicznych, Ulica Przejazd N. 649.